SŁAWOMIR MROŻEK

ARTYSTA

NOIR SUR BLANC

SŁAWOMIR MROŻEK

ARTYSTA

i inne opowiadania

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

KOGUT, LIS I JA

- Artysta
- Kogut, lis i ja
- Hodowla
- Wrócić, nie wrócić
- Trójkąt
- Pamięć
- Podejrzenie
- Prokurator
- Na rogatce

NOWOSĄDECKI, MAJER I JA

- Szuler
- Czuwanie w górach
- Dylemat Majera
- Wariat
- Słowo i czyn
- Sprawiedliwość
- Rewolucja bis
- Obrady
- Przesada
- Ruch wydawniczy

Korekta: AGATA NOCUŃ
Projekt okładki: TOMASZ LEC

© 1992 by Diogenes Verlag AG, Zürich
and
© 2019 by Noir sur Blanc, Warszawa
For all Polish language editions
All rights reserved

Wydanie pierwsze w tej edycji

ISBN 978-83-7392-677-6

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa
e-mail: nsb@wl.net.pl
księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Kogut, Lis i ja

ARTYSTA

Kogut przeczytał ogłoszenie: „Potrzebujemy zwierząt – Cyrk”.

– Zgłoszę się – powiedział, składając gazetę. – Zawsze chciałem być artystą.

Po drodze snuł wielkie plany:

– Sława i pieniądze. A może nawet wyjazdy za granicę.

– I z powrotem – dodał Lis.

– Dlaczego z powrotem? Za granicą podpiszę kontrakt z Metro Goldwyn Mayer.

Dyrektor przyjął go na świeżym powietrzu, gdzie urzędował. Właśnie rozwijano namiot cyrkowy. Ja i Lis zatrzymaliśmy się opodal.

– Bardzo mi miło, że pan się do nas zgłasza. Można poznać godność?

– Lew – przedstawił się Kogut krótko.

– Lew? – zdziwił się dyrektor. – Czy jest pan tego pewny?

– Ewentualnie tygrys.

– No dobrze. Wobec tego niech pan zaryczy.

Kogut zaryczał, jak umiał.

– Owszem, nieźle, ale są lepsze lwy od pana. Gdyby pan się zgodził na koguta, to co innego. Wtedy mógłbym pana zaangażować.

– Ja dla pana przyjemności nie będę udawał ptaka – obraził się Kogut.

– Żegnam wobec tego.

W drodze powrotnej Kogut milczał ponuro. Wreszcie nie wytrzymałem.

– Co ci strzeliło do głowy, dlaczego chciałeś grać lwa?

– Jak to dlaczego... – odpowiedział za niego Lis. – Czy widziałeś kiedy artystę bez ambicji?

KOGUT, LIS I JA

Kogut, Lis i ja szliśmy przez las.

– Zawsze to samo – zrzędził Kogut. – Zawsze idę przez las, kiedy idę z wami.

– Nieważne którędy – rzekł Lis. – Gorzej, że z wami zawsze jestem głodny.

– Tylko bez niesmacznych aluzji! – oburzył się Kogut.

– Przeciwnie, aluzja jest bardzo smaczna – powiedział Lis, patrząc na Koguta, i oblizał się.

Na to ja:

– Obydwaj macie rację. Z wami zawsze jestem głodny i zawsze na bezdrożu.

– A mnie to niby nie chce się jeść? – zapiał Kogut. – Konia bym zjadł z kopytami!

– No, no... – uśmiechnął się Lis.

– I jeszcze jedna prawidłowość. Czy zauważyliście, że kiedy idziemy o głodzie i chłodzie, wtedy zawsze zaskakuje nas noc?

– Prawda! – zawołali chórem. – Słońce zachodzi, a my nie mamy gdzie nocować!

– A więc wszystko się zgadza. To będzie początek nowej opowieści.

– A ja mam tego dosyć – powiedział Kogut.

– Przecież opowieść jeszcze się nie zaczęła.

– Ale na pewno czekają nas dalsze trudy i nowe niebezpieczeństwa.

– Oczywiście. Opowieść powinna być ciekawa.

– Nie dla mnie.

– Opowieść nie jest przeznaczona dla ciebie. Ty jesteś tylko bohaterem opowieści.

– Jednym z bohaterów – wtrącił Lis.

– Bohaterem? Nie mam żadnego wpływu na wypadki. I to ma być bohater?

– Bohater, czyli wybraniec przeznaczenia. Jak wiadomo, przeznaczenie jest nieubłagane.

– Dziękuję pięknie. Dla mnie bohaterem jest taki kogut, co świadomie kieruje przeznaczeniem.

– Albo lis – wtrącił Lis.

– Nie mogę cię zmusić, żebyś przyjął moją definicję bohatera. Kimże więc jesteś?

– Niewolnikiem! My, tak zwani bohaterowie, jesteśmy niewolnikami. Używani do wszystkiego, nie stanowimy o niczym. Pakują nas do najgłupszych fabuł, każą nam wygłaszać morały, których bynajmniej nie podzielamy. Czy to jest sprawiedliwe?

– Zawsze tak było.

– A więc najwyższy czas, żeby coś się zmieniło. Nic o nas bez nas.

– Uważaj, bo cię skreśli – ostrzegł go Lis. – Gdzie się wtedy podziejesz?

– Tego nie zrobi, ponieważ jestem nieodzowny. Beze mnie nie ma opowieści.

– Hm, hm... – chrząknąłem znacząco. – A gdybym cię jednak skreślił?

– Po co skreślać. Pozwól, że ja go zjem – zaoferował się Lis.

– Ty głupi Lisie! – krzyknął Kogut. – Przyłącz się do mnie, a razem wymusimy na nim ustępstwa. Będzie ci musiał dostarczać tłustych kapłonów, smakowitych królików i słodkich winogron pod dostatkiem, jeżeli chce, żebyśmy występowali w jego opowieściach.

– Ciekawa alternatywa – zgodził się Lis.

– Uwaga, bo skreślę was obu.

– Bluff! Nie możesz skreślić wszystkich bohaterów. Jesteś autorem i musisz z czegoś żyć.

– Słusznie – przytaknął Lis. – Obu nas nie skreśli.

– Porozmawiajmy spokojnie. Przyznaję, że ciężki wasz los. Ale i mnie nielekko. Jako autor jestem zależny od czytelnika, a ten ma swoje wymagania. Nie mogę mu dostarczać opowieści, które by go nie interesowały. Opowieść więc musi być niezwykła, bo rzeczy zwykłe nikogo nie interesują. Wy zaś, jeśli was dobrze rozumiem, domagacie się ode mnie zwykłości. Jeść, spać, nie ruszać się... I żeby, broń Boże, nie przytrafiło się wam nic nadzwyczajnego. Kogo to interesuje?

– A gdybyśmy jedli nadzwyczaj dużo i spali nadzwyczaj długo? – zaproponował Lis.

– Nonsens. Ja się na tym znam lepiej od ciebie. Jedz, pij i śpij choćby przez całą wieczność, a nikt na ciebie nie zwróci uwagi. Czy chciałbyś być zupełnie nieinteresującym lisem?

– Co to, to nie. Ale również nie chciałbym być całkiem interesującym. Skoro tak stawiasz sprawę...

– Lis i tak nikogo nie interesuje. W żadnym wypadku – wtrącił Kogut. – Dziwię się, że go w ogóle wziąłeś do spółki. Co ty w nim widzisz?

– Wkraczasz w moje kompetencje.

– Ja domagam się prawa głosu.

– Ja też – powiedział Lis. – Brak głosu jest denerwujący. Na przykład, dlaczego nie wolno mi zjeść Koguta? To jest wbrew naturze.

– A dlaczego ja mam kolegować się z Lisem? To nienaturalne. Zamiast dać mi do towarzystwa siostrę kurkę...

– Tłumaczyłem wam już, że opowieść musi być interesująca. Wy sądzicie, że mnie sprawia przyjemność wymyślanie niezwykłych historii? Nie, ja bym wolał napisać: „Szedł sobie Kogut z Kurką...”.

– Albo: „Lis zjadł Koguta...” – wtrącił Lis.

– Nie przeszkadzaj. Albo: „Lis zjadł Koguta”. To byłoby o wiele łatwiejsze. Ale literatura ma swoje prawa. Bądźcie mi wdzięczni, że nie

napisałem: „Kogut zjadł Lisa”.

– Za nic! – żachnął się Kogut.

– Też pomysł... – skrzywił się Lis.

– Sami więc widzicie, że i ja nie jestem zupełnie wolny. Muszę się podporządkować pewnym prawom.

– Nic mnie to nie obchodzi – oświadczył Kogut stanowczo i zaintonował: „Słyszycie wrzawę nad doliną? W żołdactwa chmurze czyha grom”.

– Mnie też nie – poświadczył Lis.

– Obchodzi was czy nie, tam w dali błyska światełko. Znak, że jakiś dom znajduje się w lesie. Tam możemy zanocować, a kto wie, może i dostać coś do jedzenia? Czy wolicie kontynuować nasz spór, czy też poszukać żywności i noclegu?

– Żywności i noclegu! – zawołali.

– Więc chodźmy.

Poszliśmy. Dom był ciemny, jak ciemna była noc i las, tylko to okno oświetlone. Znak, że ktoś był w domu. Ale kto? Przezorność kazała zajrzeć najpierw przez okno, a potem dopiero zapukać do drzwi. Ale okno było umieszczone zbyt wysoko, żeby do niego zajrzeć, nawet wspinając się na palce.

– Niech Kogut wejdzie na Lisa i zobaczy, co jest w środku – rozkazałem.

– Dlaczego Kogut na mnie? – zaprotestował Lis.

– Więc niech Lis wejdzie na Koguta.

– Ani mi się śni – stwierdził stanowczo Kogut.

– Więc najpierw Kogut na Lisa, a potem Lis na Koguta. W ten sposób będzie sprawiedliwie.

– Dlaczego Kogut najpierw? – zaoponował Lis.

Okno otwarło się i jakiś głos zawołał z góry:

– Hej, co to za hałasy, kim jesteście?

– Odpowiedz mu... – zaszeptał Lis, trącając mnie w bok.

– Wyjaśnij mu... – szepnął Kogut i dziobnął mnie w łydkę.

– Wędrowcy – odpowiedziałem. – Szukamy żywności i noclegu.

– Czy macie przy sobie pieniądze?

– Nie mamy.

– Złoto albo inne kosztowności?

– Nie mamy.

– Szaty lub sprzęty ozdobne?

– Też nie. Jesteśmy ubogimi wędrowcami.

– To idźcie do diabła! – krzyknął głos i już miał zatrzasnąć okno, kiedy Kogut zawołał:

– Chwileczkę! Lis ma futro!

– Futro? – zainteresował się głos.

– A Kogut ma ostrogi! – zawołał Lis.

– Ostrogi? Poczekajcie, zaraz wam otworzę drzwi.

– Po coś mu powiedział o moich ostrogach? – sierdził się Kogut, kiedyśmy czekali pod drzwiami.

– A czy ja cię prosiłem, żebyś mu donosił o moim futrze? – gniewał się Lis.

– Prosimy, prosimy do środka, bardzo prosimy!

Drzwi otworzyły się i weszliśmy do sieni. Drzwi zamknęły się za nami na siedem kluczy.

– Tędy, tędy.

W sieni było ciemno i wciąż nie wiedzieliśmy, do kogo należał głos. Otworzyły się drugie drzwi i weszliśmy do izby, gdzie ogień na kominku rozsiewał migotliwe światło. Stół obficie zastawiony rozsiewał smakowitą woń. Wokół stołu siedzieli mężczyźni z brodami, a było ich dwunastu. Każdy miał nóż za pasem. Patrzyli na nas. Drzwi za nami zamknęły się na dwanaście kluczy.

– Hej, Madeju! – zawołali. – Kogo nam tu przyprowadzasz?

– Ten w futrze to bogaty kupiec – odpowiedział trzynasty. – A ten z ostrogami musi być znacznym rycerzem.

– Hurrra! – zakrzyknęli biesiadnicy. Widać bardzo się ucieszyli naszym przybyciem.

– A trzeci? – zapytał jeden, kiedy już umilkła radosna wrzawa.

– Ten trzeci to chyba osioł.

Brodacze wybuchnęli śmiechem.

– He-he – zawtórował im Kogut.

– Hi-hi – zachichotał Lis.

– Śmiejcie się, śmiejcie – powiedziałem do nich. – Coś mi się wydaje, że już niedługo przestaniecie się śmiać.

– Poczekajcie chwilę, panowie – rzekł trzynasty. – My tylko skończymy kolację.

– Czekać? A na co? – zdziwił się Kogut.

Teraz dopiero brodacze wybuchnęli śmiechem naprawdę. Turlali się ze śmiechu, trzymali się za brzuchy, a z oczu pociekły im łzy.

– On pyta... – wykrztusił jeden. – O, nie mogę! – I chwycił się za lewy bok.

– Na co... – załkał drugi, chwytając się za serce. – Bo pęknę, pęknę!

– Czekać! – kwiknął trzeci dyszkantem, choć barczysty mężczyzna, i zwalił się pod ławkę. Spod ławki jeszcze krzyczał: – Trzymajcie mnie, trzymajcie!

– To może ja już sobie pójdę – bąknął Lis.

– Ja także – wymamrotał Kogut. – Przypomniałem sobie, że mam coś w lesie do załatwienia.

Ale tamci zabrali się do wieczerzy i nie zwracali już na nas uwagi. Przycupnęliśmy w kąciku, jak najdalej od ucztujących.

– Uciekajmy stąd – szepnął Kogut.

– Właśnie – przytaknął Lis. – Uciekajmy, uciekajmy natychmiast.

– Wolna droga. Teraz wy sami podejmujecie decyzje. Ja się nie wtrącam.

– Wcale nie. Pierwsze drzwi są zamknięte na siedem kluczy, a drugie na dwanaście.

– Razem dziewiętnaście – obliczył Lis melancholijnie.

– Plus trzynaście noży – zauważył Kogut.

– Dziewiętnaście kluczy i trzynaście noży – podsumował Lis.

– A kto się buntował, kiedy prosiłem, żebyście zajrzeli przez okno? Gdybyście mnie posłuchali, nie wpadlibyście w ręce zbójców.

– To Lis nie chciał.

– Nieprawda, to Kogut.

– Nie chcieliście obaj. Domagacie się samodzielności, więc bądźcie teraz samodzielni.

– Czy mógłbyś jednak się wtrącić... Jeszcze tylko ten jeden raz...

– Tak, tak – poparł go Lis. – Ty jesteś autorem, ty masz prawo...

– Za późno.

– Co tam szepczecie, chłopcy? – zapytał trzynasty, zwany Madejem, i wytarł wąsy brodą, zaś brodę rękawem. – Coś wam się nie podoba?

– Ale skąd! – zaprzeczył skwapliwie Lis.

– Bynajmniej – zapewnił Kogut. – Bardzo tu jest ładnie.

– No to chodźcie no tu do nas. Chodźcie no tu bliżej.

– Koniecznie? – upewnił się Lis.

Lecz Madej powstał, jedną ręką chwycił Lisa za kark, a drugą za dziób Koguta. Wśród oklasków i wesołych okrzyków postawił ich obu na stole. Skończywszy ucztowanie, zbójcy rozparli się na ławach i zapalili fajki. Byli w doskonałych humorach.

– Tańczyć, tańczyć! – wołali do Lisa i Koguta i puszczali im w nos ogromne kłęby dymu.

– A on? – wskazał na mnie Kogut.

– Osioł nie tańczy. Tańczyć, tańczyć!

Lis i Kogut zaczęli taniec. Nie tańczyli pięknie, ale zbójcom się podobało. Klaskali w ręce, wybijali takt i pokrzykiwali dziko: – U-ha, u-ha!

– Panowie zbójcy! – zawołał Kogut, pokonując zadyszkę. – Ja rozumiem, że wy jesteście zbójcami, jak ja jestem kogutem, a Lis jest lisem. Każdy

według swojej natury. Ale czy nie możemy się jakoś pogodzić? Łączy nas wspólny los, wszyscy jesteśmy bohaterami opowieści wymyślanych przez tego osła, a więc niejako kolegami. Czy wam sprawia przyjemność to zbójeckie życie? To ucztowanie i zabawy w złym guście? Pomyślcie o rozkoszach życia osiadłego na łonie rodziny. O przyjemnościach uczciwej pracy na roli lub w przemyśle, o satysfakcjach spokojnego sumienia i godziwej rozrywki. Czy nie zapłaczecie nad sobą, widząc się skazanymi na to życie zbójeckie, które szkodzi waszemu zdrowiu i gubi wasze dusze? O jakże mi was żal, kiedy was widzę zbójcami. Ale nie wszystko jeszcze stracone. Usiądźmy wspólnie przy tymże stole jak bracia i zastanówmy się, jak razem przeciwdziałać tyranii tego osła, co z was czyni zbójców, z nas wasze ofiary, choć sam nawet tańczyć nie umie. Razem zaczniemy piękne i poczciwe dzieła.

– U-ha! – krzyknęli zbójcy i wydobyli noże. Trzynaście ostrzy skierowanych od góry otoczyło Lisa i Koguta tańczących na stole. – U-ha, u-ha! – wołali coraz to szybciej, zmuszając Lisa i Koguta do przyśpieszenia rytmu. Kogut stracił oddech i zrezygnował z przemowy.

– Mów teraz ty – wysapał do Lisa. – Ja już nie mogę.

– Panowie zbójcy – podjął Lis z trudem, bo taniec był coraz to szybszy. – Mój przyjaciel Kogut zwrócił wam uwagę na wasz smutny los. Nie będę się rozwodził nad moralną stroną zagadnienia, dosyć o tym było. Chciałbym zatrzymać się dłużej na pewnych aspektach, o których mój przedmówca zaledwie napomknął. Nie będę ukrywał i powiem wprost: wy się rujnujecie. Ten nieregularny tryb życia, ten nadmiar tłustych potraw i mocnych trunków oraz palenie tytoniu, khy-khy... (tu zakaszlał), jak również ryzyko nieszczęśliwego wypadku nieodłączne od manipulowania ostrymi narzędziami, a co za tym idzie – napięcie nerwowe, to wszystko jest niehigieniczne i wysoce szkodliwe. To nie może pozostać bez konsekwencji. To prędzej czy później doprowadzi was do chorób i rozstrojów nerwowych. Ja was ostrzegam i ja was proszę: dbajcie choć trochę o siebie.

– U-ha! – krzyknęli zbójcy. – U-ha! U-ha!

W prawych rękach trzymając noże (z wyjątkiem Madeja, który był mańkutem), lewymi uderzali w stół (z wyjątkiem Madeja, który uderzał prawą), za każdym uderzeniem wykrzykując to swoje „U-ha!”. Uderzali coraz szybciej i taniec stawał się coraz gwałtowniejszy, aż przypominał taniec dwóch derwiszów.

Żal mi było Lisa i Koguta. Wkrótce stracą siły i padną na ostrza nadstawionych noży. Doprawdy, rzeczy zaszły za daleko, nie takie miało być zakończenie. Chciałem tylko ukarać Lisa i Koguta za krnąbrność, a tymczasem zbójcy rozpanoszyli mi się za bardzo. Co robić?

Skreślić zbójców? Już nie można. To by znaczyło unicestwić opowieść, a tym samym siebie jako autora. A gdyby zbójcy dostali czkawki i musieli napić się wody? Przerwać tę okrutną zabawę? Ale co potem? Piorun zapala domostwo, pożar umożliwia nam ucieczkę. Nie, to są arbitralne chwyty i już lepiej od razu skreślić zbójców niż łamać prawa, które sam wybrałem. Praw należy przestrzegać pod karą nicości.

Ach, gdyby Kogut mógł latać! Wzbiłby się wtedy wysoko ponad zbójców, Lis by się go uczepił i razem wylecieliby przez komin. Niestety, Kogut jest wprawdzie ptakiem, ale zdegenerowanym. Ach, czemuż jesteśmy tylko tym, czym jesteśmy, bez odwołania, bez żadnej możności cudu. Ach, czemuż się przeciwko temu buntujemy. Lis i Kogut nie chcieli być tylko postaciami z bajki, zbuntowali się i mają za swoje. Ja nie chciałem być tylko autorem, chciałem być jednocześnie postacią mojej własnej opowieści i też zostałem za to ukarany. Zachciało mi się brać udział, żyć... Za karę jestem ni to autorem, ni to postacią. Pomieszałem porządki. Podobnie jak Kogut i Lis zgrzeszyłem grzechem pierworodnym, pychą transcendencji, żądzą bycia wszystkim i wszędzie. Gdybym pozostał tylko autorem opowieści, wtedy Lis i Kogut nie mogliby spoufalać się ze mną i wmieszać się w moje plany. Gdyby Kogut i Lis pozostali na swoim miejscu i nie narzucili mi swojego widzimisię, nie doszłoby do nieprzewidzianych wypadków i sytuacji bez wyjścia. Teraz związaliśmy się wspólnym losem. Oni nie mogli się wyrwać ze zbójeckiego kręgu inaczej,

jak ginąc, a ja, kiedy zginą – ostatecznie przestanę panować nad moją opowieścią.

Już nie mogłem rozróżnić Lisa od Koguta, tak szybkie było ich wirowanie. Już nie wiedziałem, kim jestem, tak głupio uległem pokusie, aby być kim innym, niż byłem. Możliwe, że zbójcy mieli rację. Możliwe, że jestem tylko osłem.

Ach, czemuż wszystko musi mieć ciąg dalszy. Przewiduję, co będzie, ale jeszcze nie powiem, że już się dokonało. Odwlec – to moja jedyna szansa. Ale nawet zwłoka nie zależy ode mnie. Na razie Lis i Kogut tańczą, ale jak długo starczy im sił? Moi kochani, moi mili, moi najdrożsi, tańczcie, tańczcie i nie upadajcie na duchu. Tańczcie, tańczcie i nie upadajcie na ciele. Ja was proszę, ja was błagam, ja was zaklinam, tańczcie, tańczcie bez końca. Zróbcie to dla mnie.

HODOWLA

Przyszedł do mnie Kogut, bardzo zdenerwowany.

– Podobno Lis zakłada hodowlę kur. To niedopuszczalne.

– Dlaczego? Hodowla to organizacja, czyli cywilizacja.

– Jak to dlaczego. Przecież wiadomo, do czego Lisowi potrzebne są kury. To jest zbrodnicze przedsięwzięcie. Należy przeciwdziałać.

– Jak?

– Musimy rozmówić się z Lisem.

– Ja też?

– Chodź ze mną, potrzebuję cię jako świadka.

Lisa zastaliśmy przed lokalem dopiero co wynajętym. Właśnie przybijał do drzwi tabliczkę:

„Hodowla drobiu. Kierownictwo: Lis”.

– Zdejm to w tej chwili! – krzyknął Kogut.

– Dlaczego? To jest solidna firma i musi posiadać swoje biuro.

– Ty, powiedz mu – zwrócił się do mnie Kogut.

– Kogut obawia się, że zakładanie hodowli drobiu przez Lisa jest niewłaściwością.

– Tak myśli? – zmartwił się Lis.

– To może wywołać reperkusje. Krytycyzm, można sądzić, uzasadniony, to znaczy pewne podejrzenia, przypuszczenia co do rzeczywistych celów przedsiębiorstwa.

– Doprawdy? A czemuż to?

– Z uwagi na twój stosunek do kur.

– Ja mam czyste intencje, a ludzie mówią byle co. Mnie chodzi o dobro kur. Pragnę im zapewnić godziwe warunki egzystencji.

– Aha, czyste intencje! – oburzył się Kogut szyderczo. – A jaki będziesz miał personel?

– Też lisy, oczywiście. Sami fachowcy.

– Proszę – zwrócił się do mnie Kogut. – Czy to nie jest bezczelność?

– Obawiam się, że Kogut ma rację. Hodowanie kur przez lisy, tego opinia publiczna nie może przyjąć bez zastrzeżeń.

Lis zamyślił się głęboko.

– Ha, jeżeli obaj jesteście tego zdania... Mogę się wycofać. Ja osobiście nie mam żadnych ambicji. Ja tylko chciałem dobrze dla kur.

– Rezygnujesz naprawdę? – zapytał Kogut z niedowierzaniem.

– Oczywiście. Tylko mi żal, że upada tak piękny projekt mający na celu dobro społeczne.

– Ustępujesz bez sprzeciwu?

– Jak mam cię inaczej przekonać, że mnie wcale nie zależy ani na interesie, ani na kierowniczym stanowisku?

– Jakoś nie mogę ci uwierzyć.

– Wobec tego załóżmy hodowlę lisów przez kury.

– Poważnie?

– Jeżeli nie wypada, żeby lisy hodowały kury, to niech kury hodują lisy. W ten sposób opinia publiczna będzie zadowolona. Ja będę poza wszelkim podejrzeniem. Tym bardziej że ciebie mianujemy dyrektorem.

– Dlaczego mnie? – zdziwił się Kogut, ale jakoś nie za bardzo.

– Nie widzę lepszej kandydatury. Jesteś wybitnie uzdolniony, energiczny, a przy tym piękny. Dyrektor powinien mieć dobrą prezencję.

– Muszę to przemyśleć – rzekł Kogut po chwili. – Ostatnio jestem bardzo zajęty.

– Czy możemy jednak liczyć?

– Niczego nie obiecuję. Ostatnio proponują mi wiele kierowniczych stanowisk.

– To zrozumiałe. Będziemy jednak czekali.

Rozstaliśmy się. Parę dni potem przechodziłem tamtędy. Na drzwiach lokalu widniała tabliczka: „Hodowla lisów. Kierownictwo: Kogut”.

W poczekalni tłoczyły się młode, tłuste, smakowite kury.

– Czy jest pan dyrektor? – zapytałem kurę w sekretariacie.

– Zajęty. Właśnie angażuje personel. Poczeka pan?

– Nie, może innym razem.

W parku spotkałem Lisa. Siedział na ławce i czytał gazetę.

– Co porabiasz? – zapytałem.

– Na razie nic. Czekam na otwarcie tego przedsiębiorstwa – odrzekł i oblizał się.

WRÓCIĆ, NIE WRÓCIĆ

Kogut, Lis i ja byliśmy na wakacjach, kiedy w stolicy zmieniła się władza. Zebraliśmy się na naradę.

– Panowie – powiedziałem. – Dotychczasowa władza była taka sobie, ani dla nas dobra, ani zła. A teraz się zmieniła, czyli może być dla nas albo lepsza, albo gorsza. Więc zanim wrócimy do stolicy, trzeba się koniecznie dowiedzieć, jaka ona teraz jest.

– Ale żeby się dowiedzieć, trzeba najpierw wrócić – zauważył Lis.

– Zaś bezpiecznie wrócić można tylko wtedy, jeżeli teraz władza jest dla nas lepsza, a nie gorsza – podjął myśl Kogut.

– Czego się jednak nie dowiemy, jeżeli najpierw nie wrócimy – zakonkludowałem.

Zapanowało milczenie.

– A gdyby wrócił tylko jeden z nas i rozpoznał sytuację? Rozpoznawszy, mógłby zawiadomić pozostałych.

– Który z nas? – zapytał Kogut, dając tym samym do zrozumienia, że nie uważa się za ochotnika.

– Ten, kto ma lepsze kwalifikacje. Ktoś, kto jest chytry, przebiegły i zręczny.

Nasz wzrok padł na Lisa. Nasz, to znaczy Koguta i mój.

– Naprawdę uważacie, że ja się do tego nadaję? – próbował bronić się Lis. Obłudnie, jak to zwykle Lis. Bo wiadomo było, że jako Lis posiadał te wszystkie wymienione cechy, którymi powinien odznaczać się wywiadowca.

– Jesteś Lisem czy nie jesteś?

Lis opuścił głowę. Nie mógł przecież zaprzeczyć, że jest.

Następnego dnia, żegnając Lisa, po męsku panowaliśmy nad wzruszeniem.

– Poradzisz sobie – rzekł Kogut twardo i położył mu łapę na ramieniu. – Jesteś przecież najchytrzejszy ze wszystkich Lisów. Kto jak kto, ale ja się na Lisach znam i mogę poświadczyć.

– Tym bardziej jeżeli się okaże, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. A nuż przywitają cię z otwartymi ramionami?

– Właśnie. W każdym razie jednego możesz być pewien: my zachowamy o tobie jak najlepsze wspomnienia.

Lis odjechał. Przez pewien czas nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. Już zaczęliśmy się niepokoić, kiedy nadszedł telegram.

„Dla Lisów jest nieźle. Lis”.

Odetchnęliśmy z ulgą. Ulga byłaby jednak znacznie większa, gdyby telegram nie był aż tak zwięzły. O mnie i Kogucie nie było w telegramie ani słowa. Prawdę mówiąc, już po pierwszym oddechu przestaliśmy odczuwać ulgę.

– Dla Lisów... – zadumał się Kogut posępnie. – To dobrze, że dla Lisów. Ale co z Kogutami?

– Może dla Kogutów także?

– Może, ale nie na pewno. W tym telegramie o mnie ani słowa.

– Ani o mnie.

– Głupi jest ten Lis! – zdenerwował się Kogut i podarł telegram.

Czekaliśmy na następną wiadomość. Nadeszła po pewnym czasie.

„Koguty mile widziane. Lis”.

Tym razem Kogut odetchnął z ulgą i nadal już tak oddychał. Poweselał i nabrał o Lisie lepszego mniemania.

– Rozumiem, dlaczego przedtem nic o mnie nie wspomniał. Bo co do mnie nie miał jeszcze pewności, a teraz ma. Mądry jest ten Lis i dobry kolega.

– Ale o mnie dlaczego dalej nie pisze?

– Nie pisze, bo co do ciebie jeszcze nie wie na pewno. Więc ty musisz poczekać, ale ja już jadę.

Radziłem mu, żeby się tak nie spieszył, bo głupio mi było zostawać samemu. Ale on nie chciał przyjąć mojej rady.

– Jak mile widziane, to mile widziane. Spójrz, tu jest napisane wyraźnie. A nawet z tego wynika, że dla Kogutów widoki na przyszłość są jeszcze lepsze niż dla Lisów. „Mile widziane”, rozumiesz? To oznacza sympatię.

– A jeżeli telegram jest sfałszowany?

– Niemożliwe. „Koguty mile widziane”, tego się nie da sfałszować.

Przy pożegnaniu Kogut wyraził nadzieję, że wkrótce podążę jego śladem i wszyscy trzej odnajdziemy się w stolicy. To ładnie z jego strony, że jednak o mnie pomyślał, mimo że tak był zajęty myślami o czekającej go karierze, radośnie podniecony i niecierpliwy. Jak to Kogut.

Teraz już w samotności oczekiwałem na trzeci telegram. Codziennie chodziłem na pocztę i pytałem, czy nadszedł. Pewnego dnia, jak zwykle, wszedłem do urzędu pocztowego i zauważyłem, że na ścianie wisi portret, którego przedtem tam nie było. Portret przedstawiał dorodnego mężczyznę w kolorach naturalnych.

– Kto to jest? – zapytałem urzędnika, wskazując na portret ponad jego głową. Urzędnik obejrzał się, po czym powstał i stojąc na baczność, odpowiedział głosem urzędowym:

– To nasz nowy, najukochańszy władca.

Po czym usiadł i dodał, prywatnie już:

– Dzisiaj rano przysłali.

Wpatrywałem się w portret. Przywódca był w paradnym uniformie. Na głowie miał czako ozdobione pióropuszem z kogucich piór, a przy boku szablę ozdobioną lisim ogonem.

– Owszem, jest coś dla pana – mówił dalej urzędnik i wręczył mi telegram.

Podziękowałem i wyszedłem. Dopiero na ulicy rozpieczętowałem i przeczytałem:

„Tobie też będzie dobrze. Przyjeżdżaj natychmiast. Kogut i Lis”.

Ukrywam się jednak do tej pory. Bo nie wiem, mam czy nie mam czegoś takiego, co by nasz nowy, najukochańszy przywódca mógł sobie gdzieś wetknąć czy przywiesić?

TRÓJKĄT

– Rozejdźmy się – powiedziałem. – Dosyć już tej historii. Jesteśmy razem już od tak dawna, razem mieliśmy wiele przygód, ale to trwało za długo i mamy siebie nawzajem dosyć. Po co więc ukrywać? Ja na was patrzeć nie mogę.

– Przepraszam – odezwał się Lis. – Ale to ja nie mogę już patrzeć na ciebie. Ani na niego – dodał i wskazał na Koguta.

– A ja ani na niego, ani na ciebie – rzekł Kogut.

– Powiedziałem: wzajemnie. Więc jedno nie wyklucza drugiego, drugie trzeciego, a trzecie drugiego ani pierwszego. Grunt, że wszyscy mamy już dosyć tego towarzystwa. Pozostaje tylko się rozejść.

– Dobrze – zgodził się Lis. – Ale kto ma odejść od kogo?

– Właśnie – potwierdził Kogut. – Zgoda, ale kto odejdzie pierwszy?

– Nikt nie odejdzie pierwszy. Rozejdziemy się wszyscy jednocześnie.

– Niemożliwe – rzekł Lis.

– Dlaczego?

– Bo jak się rozejdziemy wszyscy naraz, to kto zostanie, żeby stwierdzić, że nas tu nie ma?

– Otóż to. Ktoś musi zostać, żeby to stwierdzić – poparł Lisa Kogut.

– Wobec tego zostanę ja.

– O nie – sprzeciwił się Kogut. – Ty sobie zostaniesz jakby nigdy nic, a ja mam sobie pójść? Niedoczekanie.

– To nie będzie sprawiedliwie również w stosunku do mnie – zastrzegł Lis.

– No to ja sobie pójdę, a wy zostaniecie.

Kogut spojrzał na Lisa, a Lis na Koguta.

– I mam dalej patrzeć na tę lisią mordę?

– I mam dalej patrzeć na ten głupi dziób?

– No to zostańmy wszyscy razem.

– Tak, to jest jedyne wyjście – powiedział Kogut po chwili milczenia.

– Tak, to jest jedyna możliwość – przyznał Lis po chwili rozwagi.

– Ale wobec tego kto pójdzie sobie gdzie indziej? – zapytałem.

– Nie martw się – rzekł Lis. – Wprawdzie tutaj będziemy razem, ale za to gdzie indziej nas nie będzie.

PAMIĘĆ

– Warto by odsłonić jakąś tablicę pamiątkową – powiedział Kogut.

– Kiedy ja nic nie pamiętam – zmartwił się Lis. – A ty? – zwrócił się do mnie.

– Ja pamiętam różne rzeczy, czasem to, czasem owo, ale przeważnie nic takiego.

– Na przykład co?

– Wyleciało mi z głowy.

– Najlepszy dowód, że tablica pamiątkowa jest konieczna – stwierdził Kogut. – Bez niej niczego nie pamiętacie.

– Ale w jakiej sprawie tablica, kiedy każdy z nas nie pamięta czego innego?

– Nie szkodzi. Odsłonimy tablicę pamiątkową *in blanco*.

– To znaczy?

– Na okaziciela. My wmurujemy tablicę, a każdy, kto na nią spojrzy, wspomni sobie, co będzie chciał. Najważniejsze, żeby była tablica.

Jak pomyślano, tak zrobiono. Wmurowaliśmy piękną tablicę. Na niej wyryty napis: „Ku pamięci” i trzy kropki.

Ładnie to wypadło. Nazajutrz wróciliśmy, żeby zobaczyć, jak działa.

Przed tablicą stało dwóch.

– To panowie wmurowali tę tablicę?

– My. Ładna, co?

– Prosimy z nami.

Zaprowadzili nas do urzędu. Nie był to urząd pocztowy.

– Panowie wmurowali tablicę ku pamięci tego, czego nie trzeba.

– Niekoniecznie, przecież tablica jest ku pamięci czego kto chce.

– My dobrze wiemy, czego kto chce.

– Ale to mogą być rozmaite rzeczy. Nie wszyscy chcą tego samego.

– My już dobrze wiemy, czego wszyscy chcą.

– Wobec tego my całkiem przeciwnie.

– Co przeciwnie?

– Przeciwnie do tego, co panowie myślą, że myśmy myśleli.

– My już wiemy, co wyście myśleli.

– No właśnie. To my akurat odwrotnie.

– Co odwrotnie?

– Odwrotnie niż to, co panowie mają na myśli, że myśmy mieli na myśli.

– Aha, to znaczy przyznajecie się, żeście mieli na myśli?

– Tak, ale co innego.

– Bez wykrętów. Żeby pomyśleć co innego, trzeba najpierw pomyśleć to.

– Co?

– To właśnie, czego nie trzeba.

Musieliśmy im przyznać rację, chociaż byliśmy niewinni. Logika jest logiką.

Wypuścili nas pod warunkiem, że w ogóle nic nie będziemy myśleć. W drodze powrotnej przechodziliśmy koło tablicy. Ale tablicy już nie było.

– Myślisz coś? – zapytał mnie Lis półgłosem.

– Ja? Skądże – odpowiedziałem głośno: – Może Kogut?

– Ja myślę... – zaczął Kogut, też głośno.

– To lepiej przestań – przerwał mu Lis szeptem.

– Dlaczego? – sprzeciwił się Kogut głośno. – Ja sobie tylko myślę, że dobrze by było wmurować tablicę pam...

Nie dokończył, ponieważ Lis łapą zamknął mu dziób. Kogut jednak uwolnił się energicznie.

– O co chodzi?! – zawołał, stając w miejscu. – Ja tylko proponuję, żeby wmurować tablicę pamiątkową na pamiątkę tablicy pamiątkowej!

Nie zdążyliśmy wyrazić naszego stosunku do tej propozycji, bo podeszło do nas dwóch.

– Nie stać i nie robić zgromadzenia – powiedzieli. – Przechodzić, przechodzić!

No tośmy przeszli, przeszli.

PODEJRZENIE

Przyszedł do mnie Kogut, jakiś zmartwiony, ale i podniecony.

– Jest taka sprawa... – zaczął głosem poważnym.

– Ja też myślę, że jest – odparłem. – Ale jaka?

– Zdaje się, że Lis jest Żyd.

Aż mnie zatkało.

– Skąd wiesz? – zapytałem, kiedy mnie odetkało.

– To się wie.

– Ale dlaczego nie wiedziało się wcześniej?

– Bo najpierw się nie wie, a potem się wie. Zawsze tak jest, nigdy na odwrót.

– To co my teraz zrobimy?

– Przede wszystkim nie trzeba, żeby on wiedział, że my wiemy. Wprawdzie on jest Żyd, ale jednak Lis.

– Słusznie, jeszcze by pomyślał, że my jesteśmy antysemici.

– Niechby tylko spróbował! – wykrzyknął Kogut.

– O czym tak rozmawiacie? – zapytał Lis nadchodząc.

– O tym, że my właściwie bardzo lubimy Żydów – zapiał Kogut.

– Przestań... – szepnąłem. – Teraz mu już dałeś do zrozumienia.

– Dlaczego? – zdziwił się Lis. – Żydzi mają zły charakter i biorą kurczątka na mace.

– Ukrywa się – szepnął do mnie Kogut.

– Właściwie to masz rację – powiedziałem do Lisa. – Żydzi precz do Palestyny!

– Odwrotnie, Żydzi precz z Palestyny! Zapóźniony jesteś, czy co?

– Nie jestem zapóźniony, tylko mi się pomyliło.

– To przez Żydów – powiedział Lis. – Oni zawsze mylą.

– Widzisz, jak udaje? – szepnął do mnie Kogut. – Mówi źle o Żydach, żeby odwrócić od siebie podejrzenie. Teraz już nie ma żadnej wątpliwości.

– No, są wyjątki – próbowałem załagodzić, bo mi żal było Lisa. Zawszeć to kolega, choć Żyd. – Niektórzy mylą nienaumyślnie.

– Zwariowałeś? – szepnął do mnie Kogut. – Przecież on naumyślnie nas myli.

– Wszyscy Żydzi mylą naumyślnie, bez wyjątku – stwierdził stanowczo Lis. – Właśnie po tym ich się poznaje.

Zrobiła się cisza. Lis przyznał się. Nie wiadomo, jak teraz zareagować.

– Co tak nic nie mówicie? – zdziwił się Lis. – Bronicie Żydów.

– My? Nie, tylko tak jakoś... – zaplątał się Kogut.

– Chyba będzie padało – próbowałem zmienić temat.

– Co ty mi tu o pogodzie – zdenerwował się Lis. – Kręcicie coś... A może... A może wy sami jesteście, co?

– My?! – krzyknęliśmy chórem.

– To czemu wy jakoś tak dziwnie...

– Chodźmy – powiedziałem do Koguta. – Nie będziemy z nim rozmawiać.

– Słusznie – potwierdził Kogut. – Muszą być jakieś granice.

Odwróciliśmy się i zaczęli oddalać.

– Chwileczkę! – zawołał za nami Lis. – Poczekajcie! Przecież ja tylko żartowałem!

Ale myśmy odeszli, nie odwracając głowy. Co będziemy przestawać z tym Żydem.

PROKURATOR

– Znałem jednego – powiedział Lis – który codziennie podpisywał na siebie wyroki śmierci.

– To znaczy zgadzał się z wyrokami sądu? – zdziwił się Kogut.

– I dlaczego codziennie – zawtórowałem. – Przecież jeden wyrok śmierci jest zupełnie wystarczający.

– Miałbyś rację – odpowiedział Lis – gdyby ten pierwszy wyrok został wykonany. Albo drugi, czy którykolwiek z następnych. Ale to nie sąd go skazywał, ale on sam siebie. Sam sobie wytaczał procesy przed samym sobą, sam się oskarżał, sam uznawał się za winnego i sam siebie skazywał.

– Nie lubił siebie?

– Nie, ale lubił pisać. Bowiem wszystko to robił na piśmie. Ledwo skończył jedną sprawę, a już zaczynał następną, zawsze stosował najwyższy wymiar kary, ale na egzekucję zabrakło mu czasu.

– To znaczy powtarzał się?

– Można by tak uznać, gdyby nie rozmaitość oskarżeń. Przypisywał sobie najrozmaitsze winy, a w przewodzie sądowym był niezwykle skrupulatny. Każde oskarżenie starał się ująć do głębi i w najdrobniejszych szczegółach.

– Był perfekcjonistą?

– Więcej, estetą. Pisał tylko na welinowym papierze, japońskim pędzelkiem. Inicjały i numery paragrafów malował. Oczywiście nie znosił, żeby jakaś plamka albo kleks... Wtedy zaczynał proces od początku. Zabierał się do następnego tylko wtedy, kiedy był zupełnie zadowolony z poprzedniego, i to pod każdym względem.

– Jakby był zupełnie zadowolony z poprzedniego, toby się nie zabierał do następnego – zauważył Kogut.

– Czyli poprzednie wyrzucał – zauważyłem ja.

– Ależ skąd! Wszystko przechowywał w szafie. Po latach narosło tego tyle, że musiał kupić drugą szafę. Był do tych swoich wyroków bardzo przywiązany. A już najbardziej był przywiązany do swojego podpisu. Przez wprawę i staranie nauczył się podpisywać imponująco. Pięknie się podpisywał, powiadam wam, prawdziwe dzieło sztuki.

– I cóż się z nim stało?

– Poślizgnął się na psim gównie, upadł i umarł. Na ulicy.

– Zawsze mówiłem – westchnął Kogut – że trzeba sprzątać ulice.

NA ROGATCE

Dotąd wędrowaliśmy przez okolice słabo zamieszkane. Najwyżej jakaś gospoda przydrożna, jakiś dom w lesie lub na horyzoncie. Teraz zbliżaliśmy się do miasteczka. Już widzieliśmy wieżę kościoła, może nawet katedry? Wznosiła się ponad łupkowe dachy domów, wokół sady i domki przedmiejskie.

– Rogatka – wskazał Lis na budkę w żółto-białe pasy i na barierę tak samo malowaną, co zamykała drogę. Zaś koło budki stał strażnik w mundurze.

Zmartwiliśmy się. Ja wprawdzie miałem przepustkę wystawioną na okaziciela, którą uzyskałem dzięki moim stosunkom w stolicy, ale Lis i Kogut mieli zwyczajne paszporty. Paszporty były ważne, ale nie wiadomo było, czy Lisy i Koguty wpuszcza się do miasta. Wszędzie są różne przepisy, zaś Kogut i Lis różnili się znacznie od innych zwierząt, a zwłaszcza od ludzi.

– Może tylko nie wpuszczają Kogutów – pocieszał się Lis.

– Albo Lisów – wyraził nadzieję Kogut.

– To albo to, albo jedno i drugie – rozstrzygnąłem, o ile to było rozstrzygnięcie.

– Przydałyby się fałszywe papiery – westchnął Kogut.

– Nic prostszego – rzekł Lis. – Ty mi dasz swój paszport, a ja ci dam swój. W ten sposób każdy z nas będzie miał fałszywe papiery.

– A jeżeli okaże się, że wpuszczają tylko Koguty? Ładnie wtedy będę wyglądał z twoim paszportem Lisa.

– Ja ryzykuję tak samo – odrzekł Lis.

– Zgoda. Tak czy inaczej, podejdziemy ich.

Wymienili paszporty. Trzymając dokumenty w pogotowiu, podeszliśmy do strażnika. Ja wyciągnąłem moją przepustkę na okaziciela.

– Panowie na jarmark? – zapytał strażnik.

– Na jarmark i w ogóle – odrzekł Lis.

– Zwłaszcza w ogóle. Zaś szczególnie w dużej mierze – uzupełnił Kogut.

– Paszporty.

Podaliśmy mu nasze dokumenty. Najpierw przyjrzał się mojej przepustce, zasalutował i oddał mi ją z powrotem. Potem przyjrzał się obu paszportom.

– Który z was jest Lis? – zapytał.

– Ja? – odpowiedział Kogut. Pytająco, na wszelki wypadek.

Strażnik obejrzał go od stóp do głów.

– Nie zgadza się z rysopisem.

– To może jednak nie ja? – stchórzył Kogut.

– On, on, panie majorze – poświadczył Lis. – Ja go znam dobrze. On tylko jest taki nieśmiały.

– A ty kto wobec tego?

– Jasne, ja Kogut.

Strażnik zlustrował go bacznym spojrzeniem, potem zagłębił się w paszport. Potem jeszcze kilka razy przeniósł wzrok z paszportu na Lisa i z powrotem.

– Kogut? – wyraził powątpiewanie. – A to dlaczego cztery łapy zamiast dwóch?

– Na zapas – wyjaśnił Lis.

– Ja mu pożyczyłem, bo mnie bardzo prosił – pośpieszył Kogut z dodatkowym wyjaśnieniem. – Ale tylko do wtorku. We wtorek na pewno odda.

Strażnik pokręcił głową.

– Coś tu jest nie w porządku. Proszę zapiać.

Kogut już wydął pierś, żeby spełnić życzenie, ale w ostatniej chwili Lis zatkał mu dziób i wydał z siebie coś, co tylko nieświadomemu rzeczy mogło przypominać pianie. Strażnik nie był przekonany.

– Coś to nie tak...

– Przyznaję, że nie jestem w formie – zgodził się Lis. – Fatalna chrypka – i zaczął kaszleć, jakby miał zapalenie płuc.

– Chory? – zwrócił się strażnik do Koguta. – Może to zakaźne?

– Nie, nie! – zaprotestował Kogut (czyli oficjalnie Lis) w imieniu Lisa (czyli oficjalnie Koguta). – To od lodów.

– Coraz mniej mi się to wszystko podoba – oświadczył strażnik. – Będę musiał przetrzymać was tu na odwachu aż do wyjaśnienia.

– Nie chcielibyśmy krępować. Może poczekamy w lesie? – zaproponował Lis (czyli Kogut według paszportu).

– Marsz! Na odwach! – uciął krótko strażnik, zaś do mnie zwrócił się uprzejmie: – Wybaczy pan, że go pozbawię towarzystwa tych osobników. Są podejrzani.

– Oczywiście – skłoniłem się. – Zresztą spotkałem ich tylko przypadkowo na drodze. Nie wiem, co to za jedni.

Kogut i Lis (czyli Lis i Kogut) rzucili mi złe spojrzenia, ale było to wszystko, co mogli mi zrobić w obecności strażnika. Ten zaprowadził ich do budki i na pewno by ich w niej zamknął, gdyby budka miała drzwi. Ograniczył się więc tylko do surowego napomnienia, żeby budki nie opuszczali pod groźbą przesunięcia z kategorii podejrzanych do kategorii oskarżonych.

– Ja bym radził ich związać. Źle im z oczu patrzy – ostrzegłem strażnika.

– Sądzi pan? Ale nie mamy czym. Łańcuchy są, ale na ratuszu.

– Pójdę po nie – zaofiarowałem się.

– Panu nie wydadzą. Tylko ja mogę złożyć zapotrzebowanie.

– Wobec tego niech pan idzie, a ja tutaj popilnuję ich tymczasem.

– Nie wolno mi opuszczać posterunku.

– Drobiazg. Odda mi pan swój mundur. Z daleka nikt nie pozna, że pana zastąpiłem.

– Ale na ratuszu się okaże, że opuściłem posterunek.

– Pan opuścił, ale nie pański mundur. Zgodzi się pan chyba, że w tym wypadku liczy się mundur jako istota tego, co pan reprezentuje w mundurze. Pańska osoba jest tylko dodatkiem do munduru.

– Ale jakże ja się pokażę na ratuszu w cywilnym ubraniu!

– Nie rozumiem pana, strażniku! – krzyknąłem ostro. – Albo pan chce się przyczynić do zdemaskowania złoczyńców, albo pan lekceważy swoje obowiązki. To pachnie orderem albo degradacją.

– Boże, Boże – męczył się strażnik. – A gdybym ja panu dał mundur i pan by poszedł do ratusza...

– Bez munduru nie ma pan prawa więzić podejrzanych. To wbrew konstytucji. W tym wypadku władza musi występować urzędowo, w pełni insygniów.

– Ale czy pan sobie z nimi poradzi?

– Nie ma obawy. Zresztą chętnie złożę ofiarę na ołtarzu prawa.

Ołtarz prawa zaimponował strażnikowi. Moja przepustka ze stolicy też zrobiła swoje.

– Idę – zadecydował. – Daj pan ubranie.

Zamieniliśmy się odzieżą. Mundur był dla mnie nieco przyciasny, ale czego się nie robi dla przyjaciół.

– Zaraz wracam! – zawołał strażnik, oddalając się. – I niech pan uważa, na miłość boską!

– A paszporty?

Oddał mi paszporty i poszedł. Wyczekałem, aż zniknął wśród sadów przedmieścia. Potem zwróciłem się ku budce, z której Lis i Kogut wyzierali w najwyższym napięciu.

– Który z was jest Lis? – zapytałem surowo.

– Nie wygłupiaj się – powiedział Lis. – Idziemy?

Nie oparliśmy się, aż w lesie. Niestety, nie okazali mi wdzięczności. Pobili mnie w mundurze jako przedstawiciela władzy.

Nowosądecki, Majer i ja

SZULER

– Jestem szulerem – oświadczył cudzoziemiec. – I w grze ze mną nie macie żadnych szans. Wbrew zasadom mojego fachu nie ukrywam go przed wami. Wyznaję, kim jestem, choć być, kim jestem, mogę tylko wtedy, kiedy niczego nie wyznaję, a przeciwnie, staram się ukryć.

– Dlaczego więc pan to robi? – zapytał Nowosądecki.

– Wybaczcie, ale powiedziałem już wiele, choć nie musiałem. Sam, z własnej woli. Więc jeżeli nie odpowiem na dalsze pytania, mam do milczenia pełne prawo.

– To prawda, ale myślałem, że skoro pan się już rozpędził...

– Powiedziałem tylko to, co powiedziałem, nie mniej i nie więcej. Nie namawiam panów do gry, jak również nie odradzam. Wnioski pozostają całkowicie do uznania panów.

– Szlachetnie z pańskiej strony, tak, rzeczywiście, doceniamy...

Było nas trzech i cudzoziemiec, o którym teraz wiedzieliśmy, że jest szulerem.

Za oknem trwała przestrzeń śnieżna, nieokreślona niczym. Nawet tropów zajęczych nie było na śniegu. Można było wyjść, ale tylko na przechadzkę, czyli tylko po to, żeby pozostawić swoje własne tropy, wrócić i obserwować je przez okno. Wyjście jak każde inne, ale jeszcze mniej pociągające.

– Pozwoli pan, że się naradzimy? To znaczy na osobności. Pan się nie pogniewa?

– Bynajmniej – odparł cudzoziemiec i odwrócił się do ściany.

My trzej przeszliśmy w przeciwległy kąt. Nowosądecki, Beyer i ja.

– Po cholerę on nam to powiedział – rzekł Nowosądecki. – Teraz nie można już z nim grać.

– Można, ale nie należy – stwierdziłem.

– A niby dlaczego właściwie – zastanowił się Beyer.

– Z powodów moralnych i praktycznych. Z szulerem grać nie wypada z uwagi na kodeks honorowy. A poza tym z szulerem nie można wygrać.

– Rzeczywiście.

Zapanowało milczenie. Nowosądecki spojrzał w okno. Beyer za nim, w nadziei, że Nowosądecki coś tam widzi. Ja za nimi dwoma. Za oknem nic nie było.

– Chwileczkę – rzekł Nowosądecki, odrywając wzrok od okna. – A może on tylko udaje?

– Właśnie – ucieszył się Beyer, również przestając patrzeć w okno. – Jeżeli to tylko bluff?

– Po co miałby udawać...

– Żeby się wyróżnić. Ludzie są ambitni.

– Albo żeby nas speszyć – dorzucił Beyer. – Ze speszonymi łatwiej wygrać.

– Jak to, więc panowie chcecie z nim jednak grać?

– Chcemy, nie chcemy, to nie jest ważne. Ważne jest, żeby nie pozwolić na oszustwo. Bo skoro on tylko udaje szulera, to znaczy że oszukuje?

– Jak to udaje, kiedy wyznaje.

– Niech pan nie będzie naiwny – poparł Beyera Nowosądecki. – Właśnie jak wyznaje, to znaczy że udaje. Inaczej by nie wyznawał.

– Ale po co wyznaje?

– Żeby udawać. Gramy, panowie.

Wróciliśmy do cudzoziemca.

– Pan, zdaje się, grywa... – zaczął Beyer i zaczerwienił się.

– Bo moglibyśmy zagrać – dodał Nowosądecki. – Oczywiście, jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu.

Cudzoziemiec skłonił się w milczeniu.

– Czy gramy o pieniądze? – zapytał, kiedy usiedliśmy przy stole.

– Jasne – powiedział Nowosądecki. – Bez pieniędzy to nie jest żadna gra.

– Może by jednak, na początek... – rzekł Beyer nieśmiało. – Ja oczywiście bez żadnej myśli, tak tylko... – i zaczerwienił się jeszcze bardziej niż przedtem.

– Gramy o pieniądze – zadecydował Nowosądecki.

– Proszę bardzo – zgodził się cudzoziemiec.

I wygrał, a myśmy przegrali.

– Udało się panu – powiedział Nowosądecki.

– Nie, to nie był przypadek, ja wygrywam zawsze.

– To się okaże.

Okazało się, że cudzoziemiec znowu wygrał.

– Drugi raz też nic nie znaczy – upierał się Nowosądecki.

Trzeci raz to samo.

– Ma pan szczęście.

– To nie jest szczęście. To pewność.

Cudzoziemiec wygrał po raz czwarty, piąty i szósty. Przy siódmej partii Nowosądecki zapytał od niechcenia:

– Tę także pan wygra?

– Oczywiście – odparł cudzoziemiec. – A co, czy o coś chodzi?

– Nie, o nic. Tak tylko pytam.

Wygrał po raz siódmy. Gdyśmy się przygotowywali do ósmego, zabrałem głos.

– Czy nie mógłby pan przegrać choć raz?

– A po co?

– Nie chciałbym tego tłumaczyć zbyt dosłownie. Kolega Nowosądecki też wolał poprzestać na aluzji.

– Ale po co miałbym przegrywać?

– Jeżeli pan mnie do tego zmusza, powiem otwarcie: dla alibi.

– Nie potrzebuję żadnego alibi. Uprzedziłem panów, że jestem szulerem. Sprawa jest prosta.

Milczałem. Nowosądecki patrzył w sufit, Beyer w podłogę. Cudzoziemiec patrzył mi w oczy.

Milczenie przedłużało się.

– Czy gramy dalej? – zapytał cudzoziemiec.

Spojrzałem na Nowosądeckiego i Beyera, ale oni nie chcieli spojrzeć na mnie. Udawali nieobecnych. Poczułem się opuszczony i zdradzony, przecież ja dla nich, nie tylko dla siebie próbowałem ratować sytuację.

– Gramy – powiedziałem na złość Nowosądeckiemu i Beyerowi. – Oczywiście, że gramy. Dlaczego nie?

Nowosądecki przestał patrzeć w sufit, a Beyer w podłogę i obaj z ożywieniem spojrzeli w karty. A więc to tak. Myślałem, że się na nich zemszczę, tymczasem byli mi wdzięczni. Moją mściwą decyzję przyjęli z wdzięcznością i ulgą.

Postanowiłem już nie interweniować. Ale po osiemnastej partii żal mi się zrobiło Beyera. Na jego twarzy i rękach pojawiła się szkarłatna wysypka. Odłożyłem karty.

– Chwileczkę – powiedziałem. – Czy jednak nie powinien pan przegrać choć raz? Jeżeli nie dla alibi, na którym panu nie zależy, to ze względów humanitarnych. Ja i kolega Nowosądecki mamy kategorię A, zdolni do służby frontowej, ale kolega Beyer jest słabego zdrowia.

Cudzoziemiec ocenił Beyera krótkim, uważnym spojrzeniem.

– Wytrzyma.

– A wy co na to? – zwróciłem się do moich towarzyszy.

Milczeli. Beyer patrzył błagalnie na Nowosądeckiego, ale Nowosądecki nie patrzył na niego.

– Kolego Nowosądecki, proszę się wypowiedzieć.

– Niech Beyer sam powie.

– Wytrzymam... – szepnął Beyer ledwo dosłyszalnie i spuścił głowę.

– Dobrze. Zrobiłem, co mogłem. Odtąd każdy za siebie.

Przegrywaliśmy nadal, przez całe popołudnie. Nikt już nie powiedział ani słowa. O zmierzchu Beyer nie wytrzymał.

Właśnie cudzoziemiec rozdawał znowu karty, kiedy Beyer runął przed nim na kolana. Jego bełkot był na początku niezrozumiały. Dopiero po chwili dał się zrozumieć.

– Niech pan powie, że nie jest pan szulerem... Niech pan nie przegrywa, niech pan tylko powie, jedno słowo, ja błagam... że pan nie jest...

Cudzoziemiec nachylił się i ujął go pod ramiona. Łagodnie, ale stanowczo podniósł go z klęczek.

– Powie pan, co? Powie? – łkał teraz Beyer na stojąco. – Powie pan, że pan nie jest?

– Niestety, jestem.

– Ale ja tak już dłużej nie mogę!

– A wiara?

– Wiara? – powtórzył Beyer i rozdziawił usta.

– Tak, wiara. Panowie! – rzekł cudzoziemiec i powstał. – Przyszedł czas, abym wam wyjawił, dlaczego nie zostawiłem wam ani cienia nadziei, czyli ani cienia wątpliwości, że nie macie żadnych szans. Chciałem oczyścić i wypróbować waszą wiarę. Powinniście wierzyć w wygraną wbrew oczywistości, że nie możecie wygrać. Tylko taka wiara jest prawdziwa, a wszelka wiara, która szuka poparcia rozumu, nie jest prawdziwą wiarą. *Adieu*.

– Jak to, pan odchodzi? – zapytał Nowosądecki i powstał. Ja wstałem również. Beyer już stał.

– Teraz, kiedy wyjawiłem panom moje motywy, dalsza gra nie miałaby sensu z wychowawczego punktu widzenia. Ten, kto jest poddawany próbie, nie powinien o tym wiedzieć. Na tym właśnie polega próba. A panowie już wiedzą.

– Jeszcze tylko jeden raz.

Cudzoziemiec podszedł do Nowosądeckiego i położył mu rękę na ramieniu.

– Pańska wiara przynosi panu zaszczyt.

– Jeszcze raz tylko – prosił Nowosądecki.

Cudzoziemiec odwrócił się od Nowosądeckiego i skierował ku szatni. Po drodze zatrzymał się koło Beyera, który wciąż stał z opadniętą szczęką i mrugał oczami. Domknął mu szczękę, po czym zgarnął pieniądze ze stołu i włożył je do kieszeni. Następnie włożył futro i kapelusz.

– A ja? – upomniałem się. – Czy o mnie nie ma pan nic do powiedzenia?

– Nie.

Ukłoniłem mu się sztywno. Odpowiedział mi podobnym ukłonem i wyszedł.

Podszedłem do okna. Cudzoziemiec odchodził na przełaj przez pole, ale było już za ciemno, żeby stwierdzić, czy zostawiał ślady.

– Alem go nabrał – powiedział Nowosądecki za moimi plecami. – Ani przez chwilę nie wierzyłem, że jest szulerem.

CZUWANIE W GÓRACH

Nowosądecki, Majer i ja wynajęliśmy domek w górach, by spędzić wakacje.

Majer zamierzał zbierać grzyby. Nowosądecki – opalać się, a ja nie miałem ustalonych zamiarów.

Dobrze zrobiliśmy. Cisza, spokój, natura, żadnych ludzi dookoła. Dopiero kiedy zapadł zmierzch, zauważyliśmy światełko w oddali. Nawet nie światło. Punkcik świetlny.

Najpierw myśleliśmy, że to gwiazda, ale za nisko na gwiazdę. I świeciło nawet przy pochmurnym niebie, gdy gwiazd nie uświadczysz.

Więc może domek jakiś inny? Ale domku żadnego innego nie było w całej okolicy, a tylko nasz jeden, jedyny. Ognisko wędrowcy sobie rozpalili? Ale ognisko czerwone jest i miga, a to świeciło złociście i równo.

– Denerwuje mnie to – powiedział Nowosądecki.

– Niech sobie świeci – zajął inne stanowisko Majer. – Daleko, nam nie przeszkadza.

– Nie denerwuje mnie, że świeci – uściślił Nowosądecki. – Tylko że ja nie wiem, co świeci.

– Typowy głód poznania – skomentowałem. – Właściwy ludzkiej naturze. Człowieka nie tyle interesuje fenomen jako taki, ile przyczynowość. Człowiek chce znać przyczynę.

– Jak już o naturze mowa – denerwował się Nowosądecki – to nas oszukali. Miała być tylko natura, tymczasem okazuje się, że tu są jacyś ludzie. Ja chciałem samotności.

– Skąd wiesz, że to światełko nie jest zjawiskiem naturalnym?

– Właśnie tego nie wiem i to mnie denerwuje.

Nazajutrz poszedł na grzyby, a Majer się opalał. Ja niczego szczególnego nie robiłem i nie mam o sobie nic do powiedzenia.

Nowosądecki wrócił z grzybów zdenerwowany.

– Jakoś mi nie szło, nie mogłem się skoncentrować.

– Dlaczego, przecież pogoda odpowiednia i grzybów mnóstwo.

– Ale ja przez cały czas myślałem, że dzień przeminie, wieczór nadejdzie i to światełko znowu się pojawi.

– Może się nie pojawi.

– Właśnie, nie wiadomo, czy się pojawi czy nie, ta niepewność mnie męczy.

– Więc przypuśćmy, że się nie pojawi. Lepiej ci?

– Jak się nie pojawi, to jeszcze gorzej. Wtedy będę myślał: dlaczego przedtem było, a teraz nie ma?

– Zapomnisz.

– Nie zapomnę, wspomnień się nie zapomina. W dodatku już nie będę mógł go obserwować, tylko we wspomnieniu.

– Poczekaj do wieczora, to się okaże. Nie przejmuj się zawczasu.

Im bliżej wieczora, tym niecierpliwszy stawał się Nowosądecki, choć powinno być przecież na odwrót. Im bliższy kres oczekiwania, tym mniej powinien się niecierpliwić. Zebraliśmy się wieczorem na przyzbie.

– Alem się opalił, co? – rzekł Majer.

– Cicho – zganił go Nowosądecki. – Czekamy, nie rozpraszaj uwagi.

Zmierzch powoli zapadał, dla Nowosądeckiego za wolno.

– Nie ma – stwierdził Nowosądecki nerwowo. – Już nie będzie.

– Może nam się wczoraj tylko wydawało? – próbowałem go uspokoić. – Czasem się człowiekowi coś wydaje.

– Jednemu, ale trzem? Jeden z nas mógł się pomylić, ale nie wszyscy trzej.

– Zdarzają się halucynacje zbiorowe. Wprawdzie doświadczenie zbiorowe jest normatywną podstawą naszej wiedzy, ale consensus nie

wytrzymuje filozoficznej próby.

– Gadanie! – obruszył się Nowosądecki. – Nie próbuj mi zamącić w głowie.

– Ja nic nie próbuję, tylko analizuję.

– Jest! – krzyknął Majer, który nie brał udziału w naszym sporze, a tylko wypatrywał. – Jest, zapaliło się.

Nowosądecki i ja przestaliśmy teoretyzować i też spojrzeliśmy. Istotnie, w ciemnym masywie gór tkwił świetlny punkcik.

– O Boże! – jęknął Nowosądecki. – Znowu!

– Przecież o to ci właśnie chodziło. Gdyby nie pojawiło się znowu, byłbyś jeszcze bardziej zdenerwowany.

– Co się mnie czepiasz, jego się czepiaj! – i wskazał na światełko.

– Nie mogę. Ty jesteś moim kolegą, a to... Przecież ja nawet nie wiem, co to jest.

– Właśnie – zgodził się Nowosądecki. – Jest, ale co?

Po kolacji Majer smarował się kremem nivea, ja nic nie robiłem, a Nowosądecki wyszedł przed dom. Wpatrywał się w noc, a raczej w ten tylko świetlny punkcik w tej całej nocy. Trudno mu się dziwić. Noc wprawdzie była ogromna, niezmierzona i nieobjęta, ale cała zawieszona tylko na tym jednym punkciku jak na gwoździku.

Rano Majer pojawił się do śniadania wypoczęty, zaś Nowosądecki blady i niewyspany.

– Nie mogłem spać – skarżył się.

– Patrzyłeś w dal do późna, więc nic dziwnego.

– Nawet kiedy się położyłem, też nie mogłem spać. Wciąż rozmyślałem, co to jest, co to być może.

– Masz jakieś hipotezy?

– Żadnej. Jest, świeci i tyle.

Tego dnia już nawet na grzyby nie poszedł. Marudził po domu, łaził z kąta w kąt, w południe dopiero wyszedł na podwórko, gdzie na leżaku

rozciągał się Majer.

– Teraz najlepiej chwyta – rzekł Majer, wskazując na słońce stojące w zenicie.

– Co mi tam – mruknął Nowosądecki i zawrócił do izby. Najwyraźniej wyczekiwał zmierzchu i dzień mu się dłużył.

O zmierzchu znów zasiedliśmy na przyzbie. Ale, rzecz szczególna, i jak rozmaici są ludzie – Majer i ja już nie w takim napięciu jak wczoraj – czyżbyśmy się zaczęli przyzwyczajać? – natomiast Nowosądecki jeszcze bardziej podniecony.

Majer najmniej okazywał zainteresowania, martwił się, że w południe słońce go za bardzo przypiekło i skóra mu pewnie się złuszczy.

– Ta nivea jest do niczego – narzekał.

– Piz-buin jest lepszy – poradziłem. – Próbowałeś?

– Cisza! – krzyknął Nowosądecki.

– Dlaczego? Czekamy na zjawisko optyczne, a nie akustyczne. Jak się ma zaświecić, to się zaświeci, choćbym ja hałasował na bębnie, a Majer na puzonie.

Jakby na potwierdzenie moich słów, w niebieszczejącym, szarzejącym, granatowiejącym obszarze ukazał się złoty punkcik.

– No to idę gotować makaron – powiedział Majer i wstał.

Nowosądecki nie przyszedł na kolację. Został na przyzbie zapatrzony; kiedyśmy, ja i Majer, już się kładli, on siedział w dalszym ciągu.

– Żeby mu tylko co od tego nie odbiło – zatroszczył się Majer. – Dobranoc.

Przy śniadaniu spotkaliśmy się tylko ja z Majerem.

– Wciąż siedzi? – zapytałem Majera.

– Ani drgnie. Siedział przez całą noc.

Wyniosłem Nowosądeckiemu kubek gorącej kawy. Dygotał z zimna, bo w górach noce, a zwłaszcza poranki są chłodne, nawet latem.

– Czemu żeś kocem chociaż się nie nakrył – zapytałem.

– Nie mogłem pójść po koc, bo nie chciałem tego spuszczać z oka. Obserwacja musi być dokładna.

– I zobaczyłeś coś nowego?

– Nie, wszystko, co się da ustalić, to że zapala się wieczorem i gaśnie o świcie. Poza tym ani mrugnie.

– No to czemu jeszcze siedzisz, przecież już zgasło, dzień biały.

– Rzeczywiście – przyznał Nowosądecki i spojrzał na mnie przytomniej.

Przespał ten dzień. Majer tymczasem nabrał pięknej opalenizny, jego obawy co do skóry okazały się płonne.

Nowosądecki obudził się dopiero przed kolacją.

– Jesz dzisiaj? – zapytał Majer.

– Tylko suchy prowiant. Biorę na drogę.

– Na jaką drogę? – zdziwiliśmy się.

– Pójdę i zobaczę, co to jest.

– Daj spokój – próbował go powstrzymać Majer. – Co będziesz chodził po nocy.

– W dzień nie znajdę.

– Niech idzie – poparłem go. – Ma nam głowę zawracać, to już niech lepiej idzie i zobaczy, inaczej zepsuje nam całe wakacje.

Poszedł. Wrócił nazajutrz koło południa.

– No i co? – powitaliśmy go, Majer i ja.

– Nic, za daleko. Przez jedną noc się nie dojdzie.

Majer spojrzał na mnie, a ja na Majera. Już wiedzieliśmy, co nastąpi.

I rzeczywiście. Nowosądecki znowu przespał dzień, a nad wieczorem spakował plecak.

– Nie wiem, kiedy wrócę, może dopiero za kilka dni. Wy, chłopcy, zostańcie tutaj i czekajcie na mnie.

Czekaliśmy dzień, potem dwa. Pierwszej nocy spaliśmy jak zwykle, drugiej też żeśmy się nie martwili o Nowosądeckiego, bo wiedzieliśmy, że

co najmniej dwóch nocy potrzebował. Pod wieczór drugiego dnia zaczęliśmy się niepokoić.

– Nie ma obawy – dowodził Majer. – Może mu dłużej zejdzie, niż przypuszczamy.

– Pewnie, dwie noce w jedną stronę, to i z powrotem dwie, albo dzień i noc, jeżeli będzie wracał bez odpoczynku. Możemy go się spodziewać najwcześniej dopiero nad ranem.

Mimo tej logiki jakoś nie ruszaliśmy się z miejsca, patrzyliśmy w tę stronę, gdzie w górskiej i nocnej czeluści tkwił świetlny punkcik. Jakoś nam się nie chciało rozmawiać i siedzieliśmy tak długo.

– Która godzina? – zapytałem wreszcie.

– Będzie koło północy.

– No, to lepiej iść spać. Przed świtaniem na pewno nie nadejdzie.

I już się odwróciłem, żeby wejść do domu, gdy Majer zawołał:

– Ty, zobacz!

Zobaczyłem – w ciemności, w pustce, nie jeden teraz punkcik światła, ale dwa. Jeden obok drugiego, jednakowe, aż nie wiadomo, który był wcześniej, a który później. Majer też nie wiedział, choć twierdził na początku, że to lewe światełko zapaliło się koło prawego, ale kiedy go przycisnąłem, zmienił zdanie i utrzymywał z kolei, że to prawe koło lewego. Przedłożyłem mu, że ani lewe nie mogło się zapalić koło prawego, ani prawe koło lewego, bo póki było tylko jedno, to nie mogło być ani prawe, ani lewe. Wtedy musiał się przyznać, że też właściwie nie odróżnia, a tylko próbował dla jakiegoś porządku. Wyglądały jak para oczu.

Źle spaliśmy tej nocy.

Nowosądecki nie wrócił ani trzeciego dnia, ani piątego. Gdy nie przyszedł i minął siódmy – Majer powiedział:

– A może by mu wyjść naprzeciw?

– Czekać nam kazał. A poza tym...

– Co poza tym?

Siedzieliśmy jak zwykle na przyzbie, wpatrzeni w te dwa światełka.

– Jeżeli najpierw świeciło jedno, a teraz, kiedy Nowosądecki nie wrócił, świecą dwa, to nasuwa się przypuszczenie...

– Jakie przypuszczenie? – ponaglił mnie Majer, ponieważ zwlekałem z dokończeniem.

– Że jako drugie świeci Nowosądecki.

Majer zastanowił się.

– Bardzo możliwe – powiedział wreszcie. – Ale w takim razie, co świeciło najpierw?

– A skąd ja mogę wiedzieć! – odparłem ze złością. – Nowosądecki też był tego ciekawy. A jak już tak bardzo chcesz, to chodźmy i przekonajmy się.

– Nie ma mowy – uspokoił mnie Majer. – My tu jesteśmy tylko na wakacjach.

DYLEMAT MAJERA

– Wszystkie nieszczęścia – powiedział Nowosądecki – biorą się z tego, że ziemia jest okrągła. Skądkolwiek byś wyszedł, tyle samo się oddalasz od miejsca, z którego wyszedłeś, co i przybliżasz się do niego. Dokładnie tyle samo.

– Skąd ja ci wezmę kwadratową ziemię – odrzekł Majer.

– W najlepszym wypadku mógłbyś mi załatwić tylko sześcienną, nie kwadratową. Żyjemy bowiem w trzech wymiarach, nie dwóch.

– Nowosądecki ma rację – poparł go Puszcz Białowieski, patrząc w dal. – Oprócz długości i szerokości wszystko ma także wysokość, nawet jeśli jest niskie. Na przykład czoło Majera.

– A nawet gdybyś mi dał ziemię sześcienną – podjął Nowosądecki – to sześcian nie pomoże. Obszedłbyś go dookoła i też byś wrócił do siebie, tak samo jak po kuli. Bryła jest bryła, obojętne, kulista czy sześcienna.

– To ja już wolę po kuli.

– Dlaczego?

– Bo jak po sześcianie, to na kantach niewygodnie.

– Kretyn – zwrócił się Nowosądecki do Puszcza. – Nie widzi problemu.

– Nie widzi – zgodził się Puszcz.

– Nie macie większych zmartwień?

– Nie, bo największym zmartwieniem jest ziemia kulista. Jeżeli oddalanie się z jakiegokolwiek miejsca jest jednocześnie przybliżaniem się do niego, to co z tego wynika?

– Nie wiem – przyznał Majer.

– To, że nie opłaca się wychodzić z domu. A w domu nudno.

– No to jakie jest wyjście?

– Wyjścia nie ma. Tylko radykalny powrót do ziemi jako skorupy żółwia pływającego po oceanie, względnie jako płaszczyzny opartej na czterech słoniach, rozwiązałby tę sytuację. Wprawdzie wyszedłszy z domu, ryzykowałbyś, że wpadniesz do oceanu albo pod nogi słoniom, ale w każdym wypadku byłoby to coś nowego, czyli jakieś urozmaicenie.

– No to czemu nie? – zapalił się Majer.

Puszcz wzniósł oczy do nieba i westchnął.

– Nie mam siły – rzekł Nowosądecki do Puszcza. Może ty mu powiesz?

– Beznadziejna sprawa – odmówił Puszcz.

– Spróbuję – zmobilizował się Nowosądecki. – Wprawdzie to kolega, ale też człowiek. No to posłuchaj, tumanie: ani do żółwia, ani do słoni nie ma powrotu, ponieważ nauka udowodniła ponad wszelką wątpliwość, że ziemia jest kulista. Rozumiesz teraz?

– A gdyby ją tak... tego...

– Kogo?

– Tę nowożytną naukę... tego... no wiecie, co ją...

Nowosądecki zwrócił się do Puszcza.

– Słyszałeś?

– Słyszałem. Niewiarygodne.

– Chyba ostatecznie stracę cierpliwość.

– Nie możesz go tak zostawić.

– Nie mogę – przyznał Nowosądecki. – Sprawa jest narodowa. Czy wiesz, kto udowodnił, że ziemia jest kulista?

– Skąd mogę wiedzieć! – bronił się Majer. – Mnie przy tym nie było.

– Kopernik. Każde dziecko ci powie. A wiesz, kto to był Kopernik?

– Nie pytaj, mów od razu, na niego czasu szkoda.

– Polak! On przez to stał się sławny na tej całej kuli. I my przy okazji też jako jego rodacy. A ty byś chciał go... go tego. Kogo byś chciał, Kopernika? Polaka? Polak Polaka?!

– No to przepraszam – przeprosił Majer.

– No ja myślę! Gdyby on był Niemiec, albo Ruski, to wtedy owszem, mógłbyś. Ale tak?

– Zdaje się, że otwierają – powiedział Puszcz, który od pewnej chwili znowu patrzył w dal.

– Co, już ósma? – zdziwił się Nowosądecki i stanął na palcach, żeby zobaczyć czoło kolejki. Puszcz był wysoki, to i zobaczył bez stawania na palcach. – Rzeczywiście, otwierają, zaraz zaczną wpuszczać.

– Posuwajcie się panowie do przodu! – wołali ci, co stali za nami. Majer odwrócił się do nich.

– Wszystko przepadło, nie ma się czego pchać. Kolega mi wyjaśnił, że do przodu to jest to samo co do tyłu. On wam zaraz...

Nie zdążył jednak rozwinąć myśli. Nowosądecki położył mu rękę na twarzy, Puszcz założył mu nelsona i tyleż oddalając się od miejsca, w którym dotąd tkwiliśmy w kolejce, ile się do niego zbliżając, *via* zwrotnik raka, równik i zwrotnik koziorożca, zaczęliśmy się posuwać w kierunku sklepu monopolowego.

WARIAT

Czekaliśmy tylko na Doktora, ale Doktor się spóźniał. Bardzo byliśmy źli na niego.

Przyszedł wreszcie.

– Panowie wybaczą – powiedział, wieszając płaszcz w przedpokoju – ...ale przywieźli pacjenta i musiałem zostać dłużej w klinice. Szczególny przypadek.

– Dlaczego szczególny?

Ciągle byliśmy źli na niego. Spóźnił się, a teraz szuka wymówki.

– Cytował Szekspira: „Świat jest snem wariata śnionym nieprzytomnie, pełnym furii i zgiełku” i twierdził, że to właśnie jego osobiście miał Szekspir na myśli. – „Radzę o mnie dbać – ostrzegał – ...bo jak mi się coś stanie, to będzie koniec świata”.

– Prawdziwy wariat – przyznał Majer.

– Moim zdaniem to symulant. Prawdziwy wariat nigdy nie uważa się za wariata.

– Ale ta jego mania wielkości, to przecież czysta paranoja!

– Właśnie dlatego to jest szczególny przypadek, wariat to czy nie wariat? Zagadka dla psychiatrii. No, ale zacznijmy, dosyć już straciliśmy czasu przez niego.

Rozdałem karty.

– Co on właściwie chciał przez to powiedzieć? – zapytał Majer po chwili, już kiedyśmy zaczęli robra.

– Przez co?

– Przez ten koniec świata.

– Że świat istnieje tylko dzięki niemu. Więc kiedy on umrze i przestanie śnić, to świat się skończy.

– Razem z nami?

– Oczywiście, przecież należymy do świata.

Przez następną chwilę graliśmy w milczeniu.

– A jak on się teraz czuje? – zapytał Nowosądecki.

– Normalnie, jak w szpitalu dla wariatów.

– Nie to mam na myśli, ale czy mu nie za zimno, albo nie za gorąco? Nie poci się? Nie przeziębi się?

– Albo nie zje czego niestrawnego? – uzupełnił Majer.

– Nie wiem. Kiedy wychodziłem z kliniki, czuł się całkiem zdrowy.

Nowosądecki odłożył karty.

– Myślę, że powinien pan wrócić i sprawdzić, czy mu co nie dolega.

– Albo czy mu co nie zaszkodzi – dodał Majer.

– Panowie chyba żartują?

– Wcale nie. To jest pańskim obowiązkiem jako lekarza.

– Składał pan przysięgę Hipokratesa czy nie? – uzupełnił Majer.

– Myślałem, że przynajmniej tutaj mam do czynienia z normalnymi ludźmi – powiedział Doktor – ale widzę, że się pomyliłem. Do widzenia. I proszę już na mnie nie liczyć jako na partnera do brydża.

I wyszedł.

– No i cóżeście narobili – powiedziałem, gdyśmy zostali tylko we trzech. – Czy wyście naprawdę uwierzyli w to, co sobie uroił ten wariat?

– My? Skądże! Przecież my nie jesteśmy wariaci. Ale na wszelki wypadek...

SŁOWO I CZYN

Nowosądecki, Majer i ja siedzieliśmy wokół napoczętej butelki. Choć wypiliśmy już połowę, było dosyć nudno.

– To dlatego, że pijemy bezmyślnie – powiedział Nowosądecki. – Przedyskutujmy jakiś problem intelektualny, a zobaczycie, jak nas to ożywi.

– Można – zgodził się Majer i ziewnął. – Na przykład co?

– Ot, choćby problem tej butelki. Czy ona jest do połowy pusta, czy do połowy pełna?

– I jedno, i drugie. Przecież są dwie połowy, nie? Jedna połowa jest pusta, druga jest pełna i już po problemie.

– To jest ucieczka w płaski relatywizm, ucieczka od odpowiedzialności. Człowiek musi wybierać, jak uczył Sartre, musi, chociaż ma wolny wybór. Przymus wolnego wyboru, oto paradoks egzystencjalny.

– Co mam wybierać? – zapytał Majer.

– Punkt widzenia, czyli światopogląd. Albo patrzymy na butelkę od góry, albo od dołu. Jeżeli od góry, wtedy jesteśmy nihilistami, ponieważ ta połowa jest pusta. Natomiast jeżeli od dołu, mamy pozytywny stosunek do życia.

– Chwileczkę – wtrąciłem się do rozmowy. – A co będzie z szyjką?

– Z jaką szyjką?

– Z szyjką butelki. Przecież nalewa się przez szyjkę, a szyjka należy do tej pustej połowy. Więc co, czy szyjka też jest nihilistyczna?

– Słusznie, to jest nowy problem.

– Proponuję, żebyśmy się napili. Wtedy już nie będzie problemu z połowami, bo będzie nierówno i przynajmniej te połowy będziemy mieli z głowy.

Moja propozycja została przyjęta jednogłośnie. Istotnie, poziom płynu w butelce obniżył się znacznie poniżej średniej.

– Ty masz rozum – pochwalił mnie Majer. – A już myślałem, że z tego nie wybrniemy.

– Za to mamy teraz co innego – zauważył Nowosądecki, kontemplując butelkę. – Mianowicie problem horyzontalności i wertykalności. Zdaje się, że nie należą do tej samej kategorii pojęciowej.

– Problem czego? – zapytał Majer.

– Prościej mówiąc, problem pionu i poziomu.

– Masz rację – przyznał Majer. – Już niedużo zostało.

– O właśnie. Poziom może być wyższy albo niższy, ale wertykalność zawsze pozostaje ta sama. Zauważcie panowie, że pion ani drgnął. Z tego wynika, że horyzontalność zalicza się do fizyki, ponieważ możemy wpływać na nią fizycznie przez regulację poziomu, w stosunku do pionu, oczywiście. Natomiast wertykalność jest metafizyczna.

– A gdybym ją przechylił? – zaproponowałem.

– Wertykalność? Niemożliwe. To wynika z samej definicji.

– Wertykalność nie wiem, ale mogę przechylić butelkę.

– Niech przechyli – poparł mnie Majer. – Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Po przechyleniu okazało się, że i ten problem został rozwiązany. Poziom zniknął zupełnie, ponieważ ukazało się dno.

– Widzisz, Nowosądecki? – powiedziałem. – Tylko akcja się liczy. Ty wymyślasz, dyskutujesz, a ja działam. Gdyby nie ja, dyskutowalibyśmy do tej pory, ale nie rozwiązalibyśmy żadnego problemu. Przestańmy więc dyskutować i zajmijmy się działaniem.

– Tak, działajmy! – krzyknął Majer z entuzjazmem. – Nalewaj! Do czynu!

– Do jakiego czynu, wy głupcy – rzekł Nowosądecki. – To była ostatnia butelka.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Nowosądecki, Majer i ja przyszliśmy do byłego Naczelnika. Siedział w gaciach i palił w piecu, choć lato było upalne.

– Czym mogę służyć? – zapytał.

– My w delegacji.

– Jestem zajęty.

– Ale my w imieniu społeczeństwa.

– Ja też w imieniu społeczeństwa.

– Palenie w piecu jest zajęciem prywatnym.

– To zależy – rzekł tamten i dorzucił do pieca plik urzędowych papierów. Cała ich sterta leżała na podłodze, każdy miał pieczątkę: „Ściśle tajne”.

– Pan sobie tu siedzi rozebrany prywatnie, a my mamy sprawę publiczną.

– Społeczną – uściślił Majer.

– Narodową – uzupełniłem ja.

– A więc słucham.

– Myśmy przyszli pana Naczelnika powiesić.

– Pomyłka, ja już nie jestem Naczelnikiem. W sprawie powieszenia proszę się zwrócić do mojego następcy.

– On ma rację – rzekł Nowosądecki do Majera. – Dlaczego go jeszcze nazywasz Naczelnikiem?

– Z przyzwyczajenia. Chciałem powiedzieć: myśmy cię przyszli powiesić, ty świnio.

– Tak jest, dosyć nas namęczyłeś.

– Ty, twoja Partia i twój Rząd.

– Teraz skończyła się wasza władza.

– I wybiła godzina spraw...

Majer zamilkł w pół słowa. Prawdopodobnie chciał powiedzieć: „sprawiedliwości”, ale nie dokończył. Wpatrywał się w stertę papierów na podłodze, a ściślej mówiąc, w jakiś rękopis, co leżał na wierzchu.

– Jakoś tu rzeczywiście gorąco – odezwał się znowu, ale innym już tonem. – Czy mogę zdjąć marynarkę?

– Proszę bardzo – zgodził się gospodarz. Poczem wziął ze sterty ów rękopis i wrzucił go do ognia. Majer odetchnął z ulgą.

– Może by i to spalić? – zaproponował Nowosądecki, wyciągając ze sterty gęsto zapisany arkusz.

– Ależ oczywiście.

Nowosądecki otarł pot z czoła. Marynarkę zdjął był już przedtem, nie pytając o pozwolenie.

– A pan? – zwrócił się gospodarz do mnie.

Zdjąłem marynarkę i zabrałem się do roboty. Wreszcie znalazłem to, czego szukałem: mój stary donos na Majera i Nowosądeckiego. Gdy płonął, Nowosądecki patrzył w sufit, a Majer w podłogę.

– A spodni panowie by nie zdjęli?

– Nie, my już pójdziemy, nie chcemy przeszkadzać.

Wyszliśmy razem. Dopiero na ulicy rozeszliśmy się w milczeniu. Wprawdzie w różne strony, ale symetrycznie.

REWOLUCJA BIS

Nowosądecki, Majer i ja udaliśmy się do pewnej dobrze nam znanej restauracji.

– Popatrz, zmienili nazwę – zauważył Majer.

Istotnie, zamiast „Pod Centralnym Zarządem Państwowym” restauracja nazywała się „Hawajska Tęcza”.

– To dlatego, że nastąpiła reprywatyzacja – wyjaśnił Nowosądecki. – Przedsiębiorstwo nie jest już własnością państwową, ale prywatną.

Weszliśmy i usiedli przy stoliku.

– Czego panowie sobie życzą? – zapytał kelner, który nas nie rozpoznał, ani my jego. Oprócz nazwy zmienił się również personel.

– Jak zwykle, pół litra na głowę, razem półtora.

– Oczywiście, pół litra, ale pół litra czego?

– Jeżeli to są żarty, to ja się już uśmiałem – odpowiedział Majer. – Teraz proszę przystąpić do obsługi.

– Może być Chivas Regal, Johnny Walker, Black Label, Bushmills Cutty Sark, Ballantines, Grouse, Bordeaux, Bourgogne, Beaujolais, Champagne...

– A czystej nie ma? – przerwał mu Majer, który nie znał obcych języków.

– Owszem, Smirnoff Vodka, Don Kozaken Vodka, Crystal Vodka, Colossal Vodka i Capital Vodka.

– A zwyczajnej wódki nie ma?

– Takiej zupełnie zwyczajnej to nie mamy.

– Może by Don Kozaken? – zaproponował Nowosądecki. – To przynajmniej brzmi jakoś znajomo.

Ale okazało się, że Don Kozaken także przerasta nasze możliwości finansowe, i opuściliśmy „Hawajską Tęczę”.

– Czuję, jak mnie ugniata jarzmo kapitalizmu – powiedział Majer na ulicy.

– Mnie także – zgodził się Nowosądecki. – Musimy zbudować socjalizm na nowo.

Przystąpiliśmy do dzieła. Nowosądecki postarał się o aparaturę, Majer o surowce, a ja znalazłem lokal, czyli piwnicę. Bowiem za pędzenie samogonu grożą surowe kary i jako rewolucjoniści musimy pracować w podziemiu.

OBRADY

– Warto by założyć partię polityczną – powiedział Majer.

– Przecież już jest ich parę – zauważył Nowosądecki.

– Owszem, partie są, ale nie odpowiedzialne za całość. Takiej odpowiedzialnej, jaką my byśmy założyli, jeszcze nie było.

– A co ja z tego będę miał? – zainteresował się Nowosądecki.

– Poświęcenie dla Ojczyzny – wyjaśnił mu Majer.

– Przecież się poświęcam! – oburzył się Nowosądecki i nalał sobie znowu. – W Izbie Wytrzeźwień mi powiedzieli, że jak będę kontynuował, to dostanę nolens volens.

– Delirium tremens – poprawiłem Nowosądeckiego.

– Wszystko jedno, w każdym razie czegoś po łacinie.

– Ja mam na myśli poświęcenie odgórne – wyjaśnił Majer. – To znaczy...

– A ja co, dołem wsączam? – przerwał mu Nowosądecki.

– Bez warcholstwa – powiedziałem do Nowosądeckiego i włożyłem go pod stół. – Od tego upadła Rzeczpospolita, Majer ma głos.

– Poświęcenie odgórne, to znaczy, że my będziemy Przewodniczącymi, a to się zawsze opłaca. Pamiętacie, jak się poświęcał Cyrankiewicz?

– Gdzie te czasy – westchnął Nowosądecki spod stołu.

– Myśl niezła – powiedziałem do Majera. – Ale nie nowa. Nowosądecki ma rację, partii jest zatrzęsienie.

– Ale żadna nie jest masowa. Nas jest trzech, to znaczy stosunkowo masa.

– A co z programem? Bez programu ani rusz.

– Ja mam program pokazu Moda Polska, dali mi, jak nosiłem dla nich paczki – odezwał się Nowosądecki spod stołu. – Zostawiłem w domu, ale

mogę przynieść. Tylko już nie dzisiaj.

– Nie chodzi o program Polskiej Mody, tylko o program polskich reform – uświadomiłem Nowosądeckiego, unosząc skraj obrusa, żeby lepiej się z nim komunikować. – Bez programu reform nie mamy szans, każda partia ma jakiś.

– To zapytam księży reformatów, mieszkam niedaleko.

– Kissinger to on nie jest – powiedziałem do Majera, opuszczając obrus. – Wracając do tematu, na przykład, co myślisz o rolnictwie?

– Może być, mnie nie przeszkadza.

– A przemysł ciężki?

– Jak za ciężki, to zelżyć.

– Wobec tego, co z lekkim?

– Proste, lekki będzie trochę cięższy, a ciężki lżejszy.

– Oświata?

– Niech świeci, byle wyłączać przy wychodzeniu. I nie czytać, bo prądu szkoda.

– A wojsko? Jaki jest twój stosunek do wojska?

– Uregulowany.

– Bardzo dobrze – oceniłem. – Fachowo, do rzeczy i co najważniejsze, może liczyć na popularność. Ale to nie wystarczy, żeby się wybić, musimy zaproponować coś radykalnego. Nowosądecki, nie ruszaj się, bo przypierdolę.

– Ja się nie ruszam, tylko się drapię.

– Chwiejesz stołem.

– Kiedy mnie swędzi.

– Ale się przez szkło przelewa.

– A, to co innego – przyznał Nowosądecki i uspokoił się.

– A nie mówiłem? – powiedział Majer. – My będziemy partią odpowiedzialną za całość. Nowosądecki daje nam wzniosły przykład, nie rusza się, choć cierpi. Żadne radykalizmy.

– Centrum?

– Centrum oczywiście też, ale musimy mieć w łonie także lewicę i prawicę. Chodzi o jedność narodową.

– Kto będzie w centrum?

– Ja oczywiście. Nowosądecki może być lewicą.

– Bo przewrócę stół! – ostrzegł nas Nowosądecki z podłogi.

– Wobec tego ty będziesz lewicą, a Nowosądecki weźmie prawicę – zwrócił się do mnie Majer.

– Bo wypuszczę Nowosądeckiego – ostrzegłem Majera.

– Nie mógłbyś mnie podrapać? – zapytał mnie Nowosądecki spod stołu. – Swędzi jak cholera.

– Jak nie weźmiesz lewicy, to nie ma mowy o drapaniu – odrzekłem. – Albo lewica, albo niech cię swędzi, wybieraj.

– Podrap go tylko trochę, a potem niech się namyśli – powiedział Majer. – Nie można za dużo wymagać od człowieka.

– Właśnie! – zawołał Nowosądecki. – Ja się muszę wreszcie napić!

– Trzymaj go! – krzyknął Majer, ale było już za późno.

Nowosądecki miał pragnienie tak gwałtowne, że szarpiąc się ze mną, przewrócił stół i wszystko się wylało, póki co. Ssaliśmy potem obrus do rana, ale to nie to samo.

Nasz błąd polegał na tym, żeśmy go tam za długo trzymali na sucho. Lewica lewicą, prawica prawicą, ale najważniejsze są Prawa Człowieka.

Bez tego nie wpuszczą nas do Europy.

PRZESADA

Zadzwonił do mnie Nowosądecki.

– Majerowi jest już lepiej – powiedział.

– Na pewno? – zapytałem ostrożnie.

– Dzwonił do mnie przed chwilą i mówił, że już nie kaszle.

– I nie kłuje go już w boku? – zapytałem z troską.

– Jeszcze trochę go kłuje, ale już mniej.

– A gorączka? – zapytałem, nie tracąc nadziei.

– Nie wiem, o gorączce nic nie mówił.

– No to chodźmy do niego.

Poszliśmy. Majer powitał nas w szlafroku wietnamskim w duże motyle. Byl ożywiony i miał zaróżowione policzki.

– Jak zdrowie? – zapytałem.

– Dziękuję, dobrze. Właściwie to mi już nic nie jest.

– Ale gorączkę masz.

– Już nie.

– Nie? Może byś jednak zmierzył.

– Zmierzyłem. Nie mam żadnej gorączki.

– To dlaczego masz wypieki?

– Bo wygrałem mercedesa.

– Jak to wygrałeś?

– Na loterii.

Zapadło milczenie.

– Nowego? – zapytał Nowosądecki głucho.

– Nowiutkiego. Na loterii wygrywa się tylko nowe.

– No to my chyba już pójdziemy – powiedział Nowosądecki.

Wyszliśmy. Przed domem stał srebrzysty mercedes. Stanęliśmy przy krawężniku.

– Masz gwoździa? – zapytałem.

Nowosądecki przeszukał kieszenie.

– Tylko scyzoryk.

Pracowaliśmy z pół godziny, bo opony były twarde, a scyzoryk mały. Ale żeśmy przekłuli i poszli.

Że mu jest lepiej, to można jeszcze znieść. Ale po co ma być mu za dobrze.

RUCH WYDAWNICZY

Spotkaliśmy Majera.

– Y co słychać? – zapytał.

– A ty co, katar masz? – zdziwiłem się.

– Nie, dlaczego?

– Bo jakoś tak dziwnie mówisz.

– Dlaczego dziwnie?

– Mówisz „y” zamiast „i”.

– Wcale nie dziwnie, tylko po hiszpańsku, „i” po hiszpańsku znaczy „y”.

– Naprawdę?

– Możesz sprawdzić w słowniku.

Pożegnaliśmy się i rozeszli w swoje strony.

– Nie wiedziałem, że Majer włada hiszpańskim – powiedziałem do Nowosądeckiego.

– Ja też władam.

– Ty? Od kiedy!

– Od dzisiaj. On mówił po hiszpańsku, a ja wszystko rozumiałem.

Zastanowiłem się.

– Właściwie to ja także – powiedziałem.

– A widzisz? Żadna sztuka. On myślał, że nam zaimponuje.

Przystąpiliśmy razem z Majerem do tłumaczenia pamiętników generała Franco.

Już wzięliśmy zaliczkę.

Człowiek sam nie wie, jaki jest zdolny.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się w tej serii następujące książki Sławomira Mrożka:

SŁOŃ
2014

TANGO
2014

EMIGRANCI
2016

POLICJA
2017